Tom I. Nr. 11.

11. Października 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jak się to dzieje na świecie?

(Gawęda Bartłomieja z pod Wiśnicza.)

Już to, powiadam, niewiele dobrego na tym świecie, a zwłaszcza rodzicom wiekuisty frasunek z dziećmi. Podchowa to człowiek, wykarmi, a nie dla siebie, jeno dla świata. Oto na to mówiąc matusia wychowuje dziewuchę, a już ci chłopcy przy niej — już przyjdzie jeden, drugi, a zaleca się, a przypija do starych gorzałką, aż pójdą do księdza, wyuczą się katechizmu, dadzą na zapowiedź..... i idzie dziewczyna za Janka czy tam Wojtka, a skoro jeno pójdzie, to pożegnaj ją matusiu! Będzie prawda często na tej samej wsi, ale będzie tak jak gałązka owa, co to ją odcięli od drzewa i na drugi dzień zaszczepili. Inna już u niej rodzina, inne uciechy i frasunki..... będzie pół twoja a pół obca. Ale głową muru nie przebijesz — tak już być musi na tym świecie, bo i sam Pan Bóg wszechmogący powiedział prababce naszej Ewie, że kobieta porzuci ojca i matkę i pójdzie za mężem swoim.

Tak to moiście wy bywa z dziewczętami — a z chłopcami czyż lepiej? wyrośnie parobek jak sosna i podaje się na walnego chłopa, a już ci tego i owego stawiają na placu, a co

jeno który dostanie do miary, już ci się nie wyprosi: już mu dają cesarską koszulę, i w garść karabin dają, i młody wojak idzie światami. Ściętyż bo, ścięty buczek, już się nie będzie zielenił!... Dawniej, a bardzo to dawno, bo i najstarsi ludzie nie zapamiętają tego, jeno w dawnych książkach o tem stoi napisano, że tylko szlachta szła na wojnę. Szlachcic brał szablę, siadał na konia i gonił za Turkiem, Tatarem albo Moskalem, a chłop siedział na gruncie i spokojnie zabawiał się pracą. Ale teraz to inaczej nastało.

Otóż biorą chłopaka na żołnierza, ale Pan Bóg najlitościwszy co zabierze jedną ręką, to znów oddaje drugą. Mija rok, i drugi, i ósmy ostatni, a jak niedawno jeszcze bywało to szesnasty i dwudziesty rok; długi to czas... ale przeminie nareszcie, i żołnierz wraca do chałupy, jeśli mu nie przyszło zginąć od choroby albo od kulki. Prawda że czasem znajdzie jeno puste ściany, a zamiast matki jeno grób jej na cmętarzu, a zamiast ojca jeno słuch ludzki... ale zato trafi się znowu, że przyjdzie, a żadnej duszy nie ubyło, i chata stoi jak stała, i stodoła wedle chaty, i drzewo wedle stodoły, i krzyż na rozstajnej drodze... wszystko jak dawniej! wtedy to dopiero radość i wesele!

Ale bodajże zato tych, co psują tę uciechę! bodaj takiego wojaka, co powróci do chaty, ale tak niepodobny do dawnego człowieka, jak nieprzymierzając pięść do nosa. Zdarzy się nieraz taki, oj zdarzy! już go kolka kole przy robocie, już ani mu gadaj o kluskach ze serem albo kaszy omaszczonej — jeno mięso mu pachnie, mięso i ciepły przypiecek, a jak nie, to ława u żyda, bo już to z arendarzem najlepiej mu rozprawiać. Zrozumieją się obydwa, choćby jakim językiem gadali. Ale zato ojciec, matka, bracia, sąsiedzi krzyż Pański mają z takim człowiekiem, bo to gada niby po polsku albo po rusku, a połowa znowu słów po niemiecku, a zacina z czeska, a klnie po węgiersku i Bóg wie jakie jeszcze języki miesza ze sobą. Śmiech zbiera człeka, jak słyszy taką mowę, ale i strach razem ze śmiechem, bo w świętej biblii stoi zapisano, jako ludzie stawiając wieżę Babel, jednym mówili językiem, a jak potem Pan Bóg dał im rozmaitemi gadać mowami, z czego się pokazuje, że

każdy co miesza obce słowa do swojej mowy, psuje dar Boski i samemu Panu Bogu wszechmogącemu się sprzeciwia.

Grzech, to dla prawowiernego katolika największe złe, ale jeśli psujesz swoją mowę, to nietylko że grzeszysz, ale tak zarazem czynisz, jakbyś się wyrzekał ojca swego lub matki. Stosuje się do tego dobrze historja o jednej kobiecie i jej synu. Syn ten miał dwadzieścia lat jak go wzięli do wojska; i długie, długie lata nie widziała go matka. Postarzało się od ciężkiego frasunku kobiecisko jako samotna i opuszczona, bo nikogo nie było przy niej w chałupie, jak tylko mała dziewucha, którą wzięła za swoje. Owóż jednego razu siedzi sobie kobiecina, siedzi i duma o swoim Jasiu, który gdzieś może za dwudziestą górą a trzydziestą rzeką — aż tu coś mignęło pod oknami — otwierają się drzwi i wchodzi żołnierz jak dąb, z wąsami na pół łokcia. Stanął na progu i patrzy się na staruchę, a ona znowu na niego. Nareszcie kobieta pozdrowi żołnierza i zapyta go zaczem przyszedł — a żołnierz na to:

— Sapperment! rzeknie, to wy mnie nie poznali, muterko?

— Jakżeż was miałam poznać — odpowie staruszka — kiedym was nigdy nie widziała?

— Ej, widzieliście mnie halt muterko, widzieli, jeno braw przypomnijcie sobie... Ta ja halt wasz Johann!

— Co znowu za Johan? pyta kobiecina, robiąc wielkie oczy na żołnierza — ja nie znała żadnego Johana.

— A wasz syn, nie Johann — co go wzięli na wojaka?

— Jużcić że nie Johann — mojemu chłopcu Jasio na imię.

— No, to alles eins: Johann czy Jasio — muterko! taki ja wasz a nie czyj inny.

— Żartujcie zdrowi, panie wojak — prawi kobieta — mój Jasio nie miał ani włoska pod nosem, kiedy go brali do wojska — nie dopiero takie wąsy!

— Ej, to klajnikajty — rzeknie żołnierz — urósł ja, urosnął i sznurbart. Ja sprawiedliwy wasz Johann!

— At, przyszliście drwić ze starej baby — idźcie sobie z Bogiem panie wojak; wy nie mój Janek! mój Janek gadał tak jak ja po ludzku, a nie tak jakoś dziwnie jak wy gadacie.

— Sapperment — zawoła wojak — albo ja znam jak do was gadać? Ta ja wasz syn, wasz Johann! dajcie mi ręki, cobym was pocałował!

Biedna kobiecisko nie wiedziała co robić; i wierzy że to syn jej i nie wierzy. Nareszcie Pan Bóg dał jej myśl dobrą, więc obróciła się do dziewczyny, która była przy niej i kazała jej przynieść z komory dwa jabłka, co tam leżały na skrzyni. I wróciła mała Kaśka z jabłkami, jednem białem a drugiem czerwonem.

— No — rzeknie wdowa — panie wojak, jeżeli wy doprawdy mój Janek, to powiedźcie mi, z jakiej jabłonki są te jabłka?

— Dla czego nie, muterko? — rzeknie wojak — to czerwone to z tego drzewa, co kole wrót stoi, a to białe to halt z za stodoły.

Starowina aż klasnęła w ręce z uciechy, ale wnet się pomiarkowała i rzekła:

— Teraz widzę, żeś ty doprawdy mój Janek. Ale patrz, oto nie zapomniałeś gdzie stoją nasze jabłonki, a zapomniałeś mowy, jaką gada twoja matka, a gadał ojciec i dziad. Poznałam już ześ syn mój sprawiedliwy, ale dopiero wtedy całkiem uznam cię za syna i kochać cię tak będę, kiedy poprawisz sobie mowę i zapomniesz o tych cudzoiemskich słowach, co je słyszałam od ciebie.

* Dowiedzieliśmy się, że Janek nie nazywa siebie Johanem, a matunię muterka, i dzisiaj mówi tak jak jego ojcowie mówili.

STARY WIARUS.

(Obrazek.)

Żył sobie przed laty staruszek uczciwy,
Choć miał lat sto blisko, był czerstwy i żywy,
A pamięć miał taką niezwodną i świeżą,
Że mógł grać o lepsze z dzisiejszą młodzieżą.
Miał o czem też prawić, bo i któż nie prawi,
Gdy więcej półwieku wojaczką się bawi?
Więc lubił gawędzić, a wtedy najszczerzej,
Kiedy go otoczył rój rześkiej młodzieży.

Bo stary pamiętał, że w Piśmie rzeczono,
Jak Chrystus nauczał i kochał to grono.
I młodzi lubili staruszka gawędy,
I lgnęli do niego, i za nim szli wszędy.
Bo słodki był stary; — w kieszeniach łakocie,
A w uściech nauka, i powiastek krocie.
Raz tedy, w niedzielę do dzieci tak prawi:
— „No! moi chłopaki! kiedyście ciekawi,
Dlaczego-m choć stary, a wesół i żwawy,
Opowiem żywota mojego wam sprawy:
Od młodu Pan Jezus i Panna najświętsza
Byli mi opieką, — gdyż byłem sierotą,
A Oni — to radość, pociecha najprędsza;
Kto się Im poleci, pomogą z ochotą!
Toć byłem za morzem, a dawno, oj dawno!
Gdzie mieliśmy wojnę i głośną i sławną,
A Jezus i Marja, wśród bitwy, pożary,
Strzegli mię swą łaską: — boć żyję, choć stary!
Pomarli ci dawno, co ze mną tam byli!“
Tu stary łzę otarł, śmieje się, a kwili,
A kiedy ciekawa, gorliwa ta rzesza,
Staruszka, jak może, pieszczotą pociesza,
Znów stary łzę otarł rękawem sukmany,
I rzecze: — „Tak, młody mój ludku kochany!
Pan Jezus i Marja — to Ojciec i Matka,
My wszyscy Ich dzieci, wierna Ich czeladka!
Jam w życiu Im służył i wiernie i szczerze,
Był ciałem i duszą oddany i czysty,
O cześć Ich gorliwy, — a zawsze służbisty,
I oto nagrodę dziś służba ma bierze.
Zsiwiałem jak gołąb, żyłem już dowoli,
A w sercu mem spokój, — i nic mię nie boli,
Mam czerstwość i zdrowie, i pamięć i siłę,
I choć-em ubogi, — ubóstwo to miłe:
Bo jeszcze to datkiem, to radą, to słowem,
Biedniejszych od siebie podeprzeć gotowem.
A jako to ongi bywało: — jam młody,
Do boju, na musztrę stawiał się najprzódy,
A mundur i oręż mój zawsze był czysty,
I dłoń też ochotna do broni stalistej;
Tak i dziś jeżeli wodzowi co w Niebie,
Podoba się wezwać wiarusa przed siebie,

To stanę na czole i w sercu z pogodą,
Bo tam mię Anieli przed niego powiodą.
A Pan mię za długą tu służbę, bój krwawy,
Da kącik przy sobie, — kęs chleba łaskawy!"
Słuchała go dziatwa, co stary jej prawił
I ziarno nauki w jej duszy zostawił;
A pierś jej zawrzała niezłomnym zamiarem,
Tak z życiem wojować pod Zbawcy sztandarem.
(*Cz. N.*)

S^ty^ WOJCIECH
męczennik i nasz patron polski.

Urodził się święty Wojciech na ziemi czeskiej, z rodziców bardzo bogatych i możnych w tym kraju. Ojciec jego nazywał się Sławnik, matka Strzeżysława. Będąc małym, zachorzał raz tak mocno, że już tuj tuj co nie umarł. Wtedy matka w wielkiej żałości bierze konającego syna na ręce, i niesie go przed ołtarz Boga Rodzicy, ofiarując życie jego na Jej usługi, gdybyć za Jej wstawieniem się u Boga odzyskał zdrowie. Cudem też dziecko wyzdrowiało. Poświęcony służbie Bożej, z wielką gorliwością przykładał się do nauk. Niebawem powołano go na biskupa do Pragi, stolicy czeskiej. Widząc tam wielkie między ludźmi zgorszenie, wziął się on do nich jako najstarszy pasterz surowo, napominając do przykładnego życia. To się wielum nie podobało; nuż więc szczuć na biskupa i podjudzać innych — aż nareszcie złe wzięło górę, i święty Wojciech uchodzić musiał z Pragi i z kraju czeskiego do Rzymu. Ale wkrótce jakoś pomiarkowali się Czechy, że źle zrobili, i dalej w prożby przez różnych posłów do biskupa, aby się do nich nawrócił. Niedługo dawał się prosić — chociaż go srodze obrazili, a nawet mu czterech braci, mieszkających w dziedzicznym zamku Lubiczu, zamordowali. Wszystko to im jako wierny sługa Chrystusa, darował, i powrócił do nich w dawnej przyjaźni, aby czuwać nad ich zbawieniem. Cóż, kiedy ta jego piękna nauka tyle znaczyła, co groch rzucać o ścianę — bo jako ściana zatwardziałe były w grzechu serca onych ludzi i do poprawy na żaden raz nie-

skłonne. Doznawszy nowych przykrości od swoich nieprzyjaciół, poznał mąż święty że tu dłużej nie ma co robić, i zabrał się powtórnie precz z swojej ojczyzny, uchodząc za granicę. W Rzymie, bawiąc drugim zawodem, wielką miał ochotę wstąpić do jakiego klasztoru. Przeszkodził mu cesarz niemiecki Otto III. — właśnie ten sam, o którym już była mowa przy Bolesławie Chrobrym. Przybył on wtedy do Rzymu na swoją koronację — bowiem dawnemi laty każdy cesarz niemiecki musiał do Rzymu jechać po swoją koronę, którą mu sam Ojciec święty na głowę wkładał, i dopiero mógł się cesarzem mianować. Owóż podczas tej swojej koronacyi poznał się cesarz młody ze świętym Wojciechem i taką zaraz powziął skłonność ku niemu, że już się z nim więcej nie chciał rozstawać i przy sobie zatrzymał. Trudnoć się było takiemu panu sprzeciwiać, — więc rad nie rad został święty Wojciech przy boku cesarza; jakoż z nim wkrótce i do Niemiec wyjechał, gdzie we dnie nauczał cesarza i jego dworzan, zaś noce trawił na modlitwach i ćwiczył się w ewangielicznej pokorze, czyszcząc pokryjomu obuwie najlichszym ze sług dworskich.

Aż tu razu jednego przychodzą doń posły od króla polskiego Bolesława, zapraszając go bardzo pięknie w odwiedziny do Polski. Znałci już święty Wojciech naszego Bolesława, ale nie z osoby, jeno ze sławy jego wielkiej jaką miał po całym świecie... więc był ciekawy poznać go bliżej. Słyszał ci też już nieraz o nim, jako się gorliwie zajmował sprawami świętego kościoła, jakie poważanie miał dla księży, i jaki to żartobliwy był opiekun wiary Chrystusowej — ten Bolesław..... więc go za to miłował z całego serca. Nareszcie miał on niejako i obowiązek wdzięczności dla króla polskiego — a to w ten sposób: Jak wam już powiedziałem, nieprzyjaciele świętego Wojciecha i jego rodziny napadli byli na zamek Lubicz, w którym mieszkali panowie Sławniki, bracia rodzeni Wojciecha, z żonami i dziećmi swemi. Podstępem zdobyli go, jednych wymordowali a drugich zabrali w niewolę. Cały też majątek Sławników zagarnęli do siebie. Ale nie wszyscy bracia byli natenczas w domu. Czterech ich tylko bawiło w zamku, i oni też wszyscy zginęli. Zaś piąty brat, a właśnie najstarszy z nich imieniem Poraj, przebywał w tym

czasie na dworze króla polskiego Bolesława, i tym sposobem uszedł śmierci szczęśliwie. Ale do domu nie było już po co wracać — pozostał więc w Polsce nadal, a król go udarował mnogiemi włościami i przyjął w poczet rycerzy polskich.

Toć za brata najstarszego Pojara czuł święty Wojciech wdzięczność w swojem sercu dla króla i narodu polskiego. Więc posłom odpowiedział, że przyjmuje z całej duszy zaprosiny ich króla Chrobrego, i nie zwlekając wybrał się w podróż do Polski. Przez Ślązk zmierzał do Krakowa. Pewnego dnia już pod wieczór przybył do sioła zwanego Opole, a że był mocno zmęczony podróżą, myślał się w tem miejscu przenocować. Więc do pierwszej lępszej chaty zapukał i prosił o gospodę. Była to zagroda jednego setnika poganina, którego doma nie było, bo właśnie co wyszedł na pobliską górę palić pogańskim zwyczajem Bogom swoje ofiary. Pozostała sama jeno gospoś imieniem Złotka, a ta bardzo mile przyjęła gościa. Ale znać miała jakieś srogie umartwienie na sercu, bo wyglądała bardzo smutno i zapłakana. Pyta święty Wojciech: co jej takiego? — A ona na to:

— Oj żal mię, mój gościu, wielki żal uciska, bo mam jedyną córkę jako najdroższy skarb, a ta mi właśnie mocno zachorzała i tak już prawie jak dochodzi — biada mi, biada!... I wskazała ręką na łóżko, na którem słaba leżała w wielkiej gorączce — i aż się zanosiła od płaczu biedna matka.

Powstał święty Wojciech z miejsca i wsparty na kiju do chorej się zbliżył. Twarz jej posiniała, oczy miała zapadłe i w słup postawione, oddech ciężki.... widocznie już była w skonaniu. A tam nieboraczka matka łamie ręce w rozpaczy i włosy targa na głowie. I upadł święty mąż na kolana, i w gorącej modlitwie polecał chorą dziewczynkę łasce i miłosierdziu Boskiemu. I pobłogosławił ją potem w imię Jezusa Chrystusa, a do matki przystąpił z pociesznem słowem:

— Uspokój się, mówi — córka twoja nie umrze! ona tylko spi; jak się obudzi, będzie zdrowa.

Oby tak sprawili Bogowie, żeby to prawdą było coś wyrzekł, mój gościu jedyny! — zawołała utrapiona matkn.

Pilno jej przerwie mowę święty Wojciech: — Nie mów, Bogowie, kobieto! na nich się opuszczając, pewnie byś córkę

straciła — ale zwróć serce twoje ku prawdziwemu Bogu, który jest jeden tylko na niebie i ziemi; Jemu zaufaj z całą wiarą, a niezawodnie pocieszoną będziesz. W tej chwili uchylają się drzwi do izby, i wchodzi mąż Złotki, a z nim niejaki Wizimierz, narzeczony chorej dziewczyny. Oba mieli głowy pochylone ku ziemi i wielki smutek w oczach. Skoro zobaczyli gościa, pytają gospodynię: co za jeden?

— Pociecha nasza! powiada w radości niewiasta — mój mężu! on ci nam obiecuje przywrócić nasze dziecko do zdrowia.

— Co mówisz! zawołał setnik, rzucając się zarazem do nóg świętego Wojciecha. Niechże ucałuję nogi twoje, poczciwa duszo a gościu nasz! powtórz raz jeszcze, ażali to prawda, co moja powiada?...

— Wasza córka zdrową będzie! rzekł święty Wojciech podnosząc ojca ze ziemi.

— I któż ty? znowu setnik do niego — coś za taki czarownik, iże konających do zdrowia przywodzisz?...

— Nie czarownik ja, ale sługa jedynego Boga, który króluje na niebie i na ziemi, Wojciech mi na imię — odrzekł mąż święty.

Słysząc to, odezwie się teraz Wizimierz, narzeczony córki setnika: — Chrześcijanin! to już ja nic nie wierzę; bo jeśli nasi potężni Bogowie co mamy ich tylu, nie mogą nas pocieszyć w tem nieszczęściu, cóż dopiero może nam wasz jeden Bóg chrześcijański poradzić?

— A może! na to święty Wojciech — kto w niego uwierzy całem sercem i całą duszą; bo On jeden jest tylko Bóg sprawiedliwy, który stworzył niebo i ziemię, i to co jest na niebie i co jest na ziemi, i wszystko co jest, Jego dziełem jest. A wasi Bogowie niczem są... to też nic wam poradzić nie mogą. I napróżno paliliście im ofiary, próżny był płacz wasz i wasze prośby na nic się nie zdały — wasza chora nie miała się lepiej, i śmierć już stanęła u jej łoża, i już ci miała być dla was na zawsze straconą... A oto patrzcie: w imię Chrystusa przystępuję do jej łoża, w imię Boga przedwiecznego i Jego nieograniczonej dla nas miłości rozkazuję, aby ta wasza konająca dziewka wstała

i była zdrową. — Dotykam się jej sinej twarzy i zgasłych oczu: wstań córko!...

I stał się cud — dziewczę zdrowe i lube, jakby tylko ze snu ocknione, otwiera oczy śmiejące do matki i ojca i narzeczonego swego, i świeża i rumiana jak kwiat różowy zrywa się z śmiertelnego łoża, wyciąga pieszczone rączki ku ojcu i matce i uściska ich rodzicielskie kolana — aż oniemieli wszyscy z podziwu, aż rozpłakali się potem z wielkiej radości, aż padli nareszcie wszyscy wraz na kolana, głosząc chwałę jedynego a prawdziwego Boga, który oto przez sługę swego objawił się im w wszechmocy i miłości swojej.

Niebawem po całem siole wiedziano już o tem, co się stało w chacie setnika. I wszyscy byli ciekawi oglądać tego cudownego męża i posłuchać jego nauk o prawdziwym Bogu, którego jeszcze nie znali. I poszedł święty Wojciech na oną górę gdzie była świątynia pogańska, i tam stojąc na wielkim kamieniu, ogłaszał zgromadzonemu ludowi Wiarę świętą. Dziś jeszcze pokazują ten kamień ze znakami stóp świętego Wojciecha na Ślązku w mieście Wrocławiu, dokąd później był przywieziony z Opola, i umieszczony w kościele katedralnym nie opodal ambony.

Oprócz całej rodziny onego setnika, która się fałszywych Bogów wyrzekła i chrzest święty przyjęła, także i wielu innych zostało nawróconymi. Kamienne Bożki własnemi poniszczyli rękami, wznosząc na tem miejscu krzyż święty. Później stanęła tu kaplica pod nazwą świętego Wojciecha, gdzie się dotychczas w dzień świętego patrona odprawia uroczyste nabożeństwo z processją po całem mieście. Z tej bowiem małej wioszczyny stało się potem niezgorsze miasteczko Opol, co leży nad rzeką Odrą na pruskim Ślązku. — A kiedy święty Wojciech przybył do Polski, to szedł już prosto do Gniezna. Tam król Bolesław przyjął go jak należy i przez całą zimę zatrzymał przy sobie. A chętnie byłby go i na dłużej, choćby i na zawsze zatrzymał, — ale że biskup koniecznie chciał ludy pogańskie nawracać do Chrystusa, przeto nie śmiał się król sprzeciwiać jego świętej woli.

Z początkiem wiosny roku pańskiego 997 — więc osiemset

sześćdziesiąt i dwa lat temu, wyruszył Święty pod opieką Bolesława i w towarzystwie dwóch księży: Radzyma i Benedykta przez Polskę ku ziemi pruskiej. Na Wiśle czekała już łódź na nich i trzydziestu zbrojnych żołnierzy, których im przydał Bolesław dla bezpieczeństwa podróży. Ztąd przypłynął święty Wojciech do Gdańska, miasta nieopodal morza leżącego, gdzie odprawił nabożeństwo, ochrzcił mnogo luda pogańskiego, i potem już morzem puścił się w dalszą podróż do Prus. Kilka dni trwała ta podróż morska, zanim przybili do brzegów pruskich w okolicy dzisiejszego miasta Królewca. Ztamtąd odesłał święty Wojciech straż z onych trzydziestu żołnierzy złożoną nazad do Polski, a sam w kościelne szaty odziany, z dwoma towarzyszami wstąpił na ziemię nieznaną.

A był ten naród pruski, żyjący w pogaństwie, i okrutnie na chrześcijan zawzięty. Podróżą znękany odpoczywał święty biskup z towarzyszami u morskich wybrzeży, odśpiewując pieśni nabożne. Jeszcze się z miejsca nie ruszyli, kiedy nadpłynęła niewielka łódź wodą, a na niej garstka ludzi, którzy skoro zobaczyli jakichś nieznanych sobie gości na brzegu, zaraz skierowali do lądu i dalejże ich wypytywać: co za jedni? i za czem tu szukają?.... Swięty Wojciech śpiewał pieśni nabożne i nic im na to nie odpowiadał; zaś jego towarzysze nie znając dobrze mowy pruskiej, nie umieli im się wytłómaczyć. Wtedy jeden najzuchwalszy uderzył Świętego wiosłem, rozkazując mu natychmiast z kraju uchodzić. Przecie nie ulękli się nasi trzej apostołowie tej groźby, i przebywszy pobliską rzekę, weszli w głąb kraju. Tam nad wieczorem spotkał ich pewien możny pan i zaprowadził do wsi. Zbiegły się tłumy ludu, i znowu ich zapytano: zkąd i po co przyszli?.... Święty Wojciech krótko odpowiedział: „Przybywam z ziemi polskiej, którą chrześcijański król Bolesław sprawuje. Jestem sługą tego, który stworzył niebo i ziemię, morze ze wszystkiem, co tylko żyje, i przynoszę wam zbawienie.... abyści umyci Chrztem świętym narodzili się w Chrystusie, i osiągli przezeń odpuszczenie grzechów i królestwo niebieskie.“

Na te słowa powstała wielka wrzawa między poganami — wzięli się jedni odgrażać, a drudzy wyśmiewać ze słów świę-

tego biskupa — ale nikt jeszcze palcem się nie tknął ani jego, ani onych dwóch towarzyszy. Nareszcie po długiej naradzie między sobą kazali im wsiąść do gotowej łodzi, i jeszcze tej samej nocy wywieziono ich za pruską granicę. Oraz zagrożono, że gdyby się jeszcze raz pokazali w kraju, to jużby ich nikt od śmierci nie wyprosił.

Cóż tedy święty Wojciech? nie uląkł się bo nie uląkł — bo śmierć choćby najsroższa, poniesiona za Chrystusa, nie była mu straszną. Więc znowu nawrócił z towarzyszami swymi do kraju pruskiego. Droga wypadła im przez las — tu jeszcze śniegi leżały od zimy, i nie było suchego miejsca gdzieby można spocząć... więc szli dalej i dalej, śpiewając pieśni nabożne. Aż około południa wyszli przecie na równe pole, gdzie brat Radzym odprawił mszę świętą, a starszy Wojciech ciało i krew pańską przyjął. Poczem dla posilenia się napił się odrobiny miodu, i przydybawszy cokolwiek suchszego miejsca, spoczął z towarzyszami swymi na ziemi — i usnęli. Aż tu z lasu wypada gromada ludzi, a widząc trzech mężów śpiących na polu, które poświęcone było ich pogańskim bogom, a nazywało się po tamtejszemu Romowe, gdzie pod karą śmierci każdemu z obcych wzbroniony był przystęp, zaraz też na nich napadli, i śpiących pokrępowali sznurami. Przypatrzywszy im się bliżej, poznali że to ci sami byli, których wczoraj wywieźli za granicę, i ten najstarszy w księżym ornacie, co im prawił o Chrystusie — więc w tymci większy gniew wpadli. I wtedy jeden uderzył włócznią w pierś świętego Wojciecha, i śmiertelnie go ranił. Za tym reszta rzuciła się zbrojno ku niemu, raniąc wściekle święte ciało biskupa... aż ci mu śmierć męczeńską zadali.

A onych dwóch towarzyszy puścili wolno, nie uczyniwszy im żadnej przykrości.

— Idźcie, powiadali, do króla Bolesława a sąsiada naszego, i powiedźcie mu, coście oto na swoje własne oczy widzieli: jako zakłuliśmy jednego z waszych za krzywdę Bogom naszym wyrządzoną. Niech to będzie dla niego nauką, aby nas nadal pozostawił w spokoju, i nie nasyłał księży swoich do kraju pruskiego, który nie chce znać innej wiary nad wiarę ojców swoich.

A oni dwaj towarzysze na to: — Poszanujcież przynajmniej

to ciało krwawe naszego brata, i przechowajcie do czasu — aż przyjdą od króla posłowie i wykupią go z rąk waszych, aby pochowany był w kraju chrześcijańskim jak przystoi.

Więc pogany rada w radę między sobą — jedni powiadali: — spalić to ciało Bogom na ofiarę! — drudzy się temu sprzeciwiali, mówiąc: — Król Bolesław hojny pan, nie pożałuje złota na wykup, zwłaszcza że jak słychać, miał wielką przyjaźń dla tego księdza. — Tak więc uradzili nareszcie, że jeśli im król polski dostarczy tyle złota, ile ciało biskupa zaważy, to mu go wydadzą.

Z tem odprawili się towarzysze świętego Wojciecha i niezmierną przejęci żałością po śmierci ukochanego męża, pospieszali czemprędzej wiadomemi sobie drogami przez Polskę do króla Bolesława. A kiedy przybyli na zamek i przed królewskiem stanęli obliczem, zaraz ci Bolesław po ich twarzach zmiarkował, iż niepocieszne przynoszą wieści. Opowiedzieli wszystko jak się stało, i jaką cenę oznaczyli pogany za ciało świętego męczennika. A to nie potrzeba wam gadać, co się działo potem w sercu królewskiem; kochał on bardzo świętego Wojciecha i szanował jakby własnego ojca. To też ani na chwilę nie zwlekał z okupem, rozkazał natychmiast ze skarbca swego wziąć tyle złota ile było potrzeba, i jeszcze tego samego dnia wyznaczył posłów do kraju pruskiego, zalecając im co tchu pospieszać. Pełniąc rozkaz pański, duchem się wybrali posłowie w drogę, jako też niebawem stanęli na ziemi pruskiej. A kiedy przyszło do zważenia świętego ciała, i wydobyli posłowie wszystko to złoto, które król Bolesław na okup przeznaczył, to Prusaków aże oczy od tego złotego blasku zabolały i nie mogli się dosyć wydziwić, że to w tej Polsce tyle jest tego bogactwa. Postawiono nareszcie wielką wagę, i złożono po jednej stronie ciało świętego męczennika, na drugą zaś stronę miano tyle złota nasypać. Ależ oto stał się cud pański: ciało Świętego okazało się takie lekkie, że odrobina złota przeważyła go ze wszystkiem. Prusacy własnym oczom wierzyć nie chcieli — wściekali się prawie ze złości, że tak im się mało co ukroiło z tego wykupna. Posłowie zaś polscy, złożywszy dzięki panu Bogu wszechmogącemu za ten cud, i poruczając się opiece świętego Wojciecha

męczennika, zabrali napowrót złoto królewskie, które z łaski Boskiej okazało się być niepotrzebnem, i po spiesznej podróży przybyli z świętemi zwłokami do Polski. Złożono je naprzód za rozkazem króla w klasztorze Trzemeszeńskim, a później z wielką paradą przywieziono do Gniezna, i tamże w kościele Bogarodzicy w bogatej trumnie, ulanej ze szczerego srebra, umieszczono. A oprócz tej srebrnej trumny, w której spoczęły cudowne zwłoki naszego patrona, jeszcze wiele innych kosztownych ofiar poczynił nasz chrobry i nabożny król temu kościołowi. I tak naprzód kazał ulać ze szczerego złota krzyż wielki z wizerunkiem Zbawiciela, na który trzy razy tyle odważono złota, ile sam król ważył — a wiemy, jak rosły i ciężki był nasz Bolesław. Dalej ofiarował niezmiernie wielką blachę, także ze szczerego złota i rzęsisto drogiemi kamieniami wysadzaną, na której misternie przedstawiona była męka pańska. A było tam napisano u brzegów, że trzysta funtów złota odważono na to dzieło. Po trzecie darował do tego kościoła wielką bramę ulaną ze spiżu a cudnej roboty. Powiadają że to ma być ta sama brama złota z Kijowa, w którą Bolesław ciął mieczem, wjeżdżając do miasta — a że wracając do Polski, kazał ją zabrać ze sobą do Gniezna i tam w kościele Bogarodzicy umieścił.

Te są podarunki Bolesława, nie mówiąc o wielu innych pomniejszych. Niebawem zasłynął grób świętego Wojciecha w Gnieźnie dziwnemi cudami. Ze wszystkich stron, więc z bliska i z daleka gromadzili się ludzie tłumami u grobu świętego męczennika, poruczając się jego cudownej opiece. Nadto naród polski obrał go sobie za patrona swego, a cudowna pieśń „Bogarodzica,“ którą był święty Wojciech, jako wierny sługa Najświętszej Maryi, jeszcze mieszkając przy Bolesławie, po polsku ułożył, brzmiała w uściech każdego prawego polaka, i w każdej sprawie stała się mu pociechą i błogosławieństwem.

Dziś po latach tak dawnych i to miasto Gniezno, i kościół ten Bogarodzicy, i grobowiec świętego Wojciecha.... wszystko to już nie tak patrzy, jak za świetnych czasów Bolesława bywało. Miasto podupadło; kościół po kilkakroć rabowany świętokradzką ręką; to przez Czechów, to przez Szwedów, ani w jednej części już nie ma tych bogatych skarbów, jakiemi go

zaopatrywali pobożni i waleczni królowie polscy. Takoż i trumna świętego Wojciecha już nie ta Bolesławowska, bo ją zabrali Czechy, wpadłszy do kraju zaraz jakoś po śmierci króla Chrobrego. — Wprawdzie w sto lat później inny król polski, Bolesław krzywousty ufundował również bogatą trumnę dla naszego świętego patrona, ofiarując na nią 80 funtów złota i wielką liczbę drogich kamieni — aleć i ta zapewne wpadła w ręce jakichś rabusiów i przepadła. Trzecia trumna niemniej bogata, a ofiarowana przez Zygmunta III. króla polskiego, została przez lutrów Szwedów zabrana. Ta co ją dziś widzieć można... ładnać ona i także ze srebra lana, ale przecie już nie taka bogata jak były poprzednie. Sprawił ją X. Wojciech Pilchowicz blisko dwieście lat temu.

Takto, jedno przepadło, drugie się zmieniło na gorsze!... Ale pieśń „Bogarodzica“ przetrwała wieków tyle czysta i nieskalana, i do dziś-dnia przechowała się w pamięci polskiego narodu jako najdroższa pamiątka po świętym Wojciechu. A i cześć dla świętego patrona pozostała żywą i niezachwiana na ziemi; a i opieka Jego zbawienna i dobroczynna trwa nad nami w niebiesiech przed tronem Najwyższego.

RÓŻNOŚCI.

Raczynka. Przed jakie 400 laty nikomu u nas ani przez myśl nie przeszło, iżby raki, których mieliśmy zawsze podostatkiem, używać można do jedzenia. Dopiero nabyliśmy tego zwyczaju od Morawian, co to z nami z tamtej strony Galicyi od zachodu sąsiadują. Zaś oni znowu przyszli do tego przy takowem zdarzeniu. Stał się był wielki głód w onym kraju między Hanakami z przyczyny nieurodzaju. Z tego wiele ludzi wymarło i taka była bieda po wsiach, że już nie wiedziano jak sobie poradzić. Była też tam i wdowa jedna uboga z siedmiorgiem dzieci. Zachodziła ona w głowę, jak to wszystko w tak ciężkie czasy wyżywić — a tu dziatwa wrzeszcze w niebo-głosy: „jeść, matulu, jeść!“ aże się jej serce od boleści krajało. Tedy wyjdzie ona z domu nibyto za chlebem, i *na chybił trafił* puści się precz przez pola ku potokowi, który z tamtąd nie opodal gdzieś płynął. Przyszedłszy nad brzeg, patrzy nieboga, a tu raczyszka jak gdyby psiaki, takie spore, grzeją się na słońcu. Obrzydliweż to prawda, ale cóż było robić! *tonący*, jak to mówią, *brzytwy się chwyta* — więc i wdowa w tym razie nie namyślając się długo, rozściela chustę na ziemi i mimo wstrętu jaki miała do raków, nałapała ich co się dało i dalej z niemi do domu. Ugotowawszy je, podała potem zgłodnia-

łej dziatwie i sama się do nich przysiadła. Potrawa ta nad podziw wydała jej się dobrą, dzieci też sobie nie krzywdowały, więc potem już co dzień chodziła do potoku na raki i niemi żywiła siebie i swoje dzieci. Aż nareszcie dziwno było ludziom co ją znali z ubóstwa, zkąd ona w takie czasy wyżywić się podoła z całą rodziną?... a że w rozumach swoich nie znaleźli na to żadnej odpowiedzi, tedy od razu uznali ją za czarownicę i oskarżyli do sądu o czary. Niejaki Ctibor Towaczowski z Cymburga wyznaczony od sądu, kazał się oskarzonej stawić i już był stos drzewa przygotował, aby czarownicę żywcem spalić, bo taka była wtedy kara na czarownice. Wdowa stanęła przed sądem bez strachu, jako że czuła się być niewinną. Skoro zaś posłyszała o co idzie, że to ją za one dziwne wyżywienie bez chleba mają w posądzeniu, zaraz dobyła kilka gotowanych raków i pokazała sędziowi, powiadając, że to niemi uratowała siebie i rodzinę swoją od głodowej śmierci. Te raki na rozkaz Ctibora w obliczu zgromadzonego ludu zjadła i między dzieci swoje rozdzieliła, co widząc roztropny sędzia, uwolnił ją od oskarzenia i od kary, i zabezpieczył od napaści ludu, który z głupoty swojej ani daj Boże uwierzyć nie chciał, żeby to było prawdą, co wdowa przed sędziem prawiła. Dopiero powoli przekonali się, że wdowa uczciwa kobieta a nie żadna czarownica, i że raki tak dobrze jeść można jak co innego. Poczęli też sobie w nich smakować, a wdowę ubogą, która pierwsza zaprowadziła ten zwyczaj, nazywali na tę pamiątkę: *Raczynką*.

Domowa apteczka. Pod takim *napisem* ułożył lekarz Matecki książeczkę dla wiejskich gospodyń, i wydał ją drukiem w mieście Poznaniu. Drobna to książeczka i niewiele kosztuje, to też lada kto może ją sobie sprawić, choć niekoniecznie i bogacz. A znajdzie tam niejedną dobrą radę: jak się zachować w tej i owej słabości, jakich lekarstw zażywać, jak sobie je na prędce samemu sporządzić — ma się wiedzieć że to tylko w zwykłych chorobach, lub w takich razach, gdzieby o lekarza było trudno albo daleko od miasta, a słabość nagła. Naszym gospodarstwom, do których właśnie należy czuwanie nad zdrowiem swojej rodziny, mocno zalecamy tę „*domową apteczkę.*“

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Spyta się zima zarazem: byłeś w lecie gospodarzem?
2. Ma chleb rogi, a nędza nogi.
3. Wielka tarapata, dziurawa w deszcz chata.
4. Robiąc uziąbł, a jedząc zapocił się.
5. Zgadzaj się gębo z mieszkiem!...
6. „Żono! pójdźmy do kościoła.“ — Nie mam w czem, miły! — „Pójdźmy do karczmy!“ — Dziewko! podajno stare bóty, są tam gdzieś pod ławą.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**